

# Muzyczne spotkania ze Stefanem Kisielewskim



*Marek Drewnowski gra utwory Chopina podczas Open'er*

*Festival, Gdynia 2010 r., fot. arch. artysty*

**Marek Drewnowski** (*pianista, profesor*)

W latach 80. przebywałem w Paryżu jako stypendysta „Kultury Paryskiej”. Odwiedzałem księży Pallotynów dosyć często i tak spotkałem Stefana Kisielewskiego. Szefem dyrektorem Pallotynów był wówczas ksiądz Józef Sadzik działający na emigracji m.in. w wydawnictwie *Editions du Dialogue*. Nieprzeciętna postać i osobowość. Ksiądz Sadzik postanowił zorganizować koncert muzyki współczesnej w salce pobliskiego kościołka. W programie miałem zagrać utwory Kisielewskiego i Romana Palestra. Kisiel na szczęście miał nuty, więc zacząłem uczyć się jego nowych utworów. Była to „Suita na fortepian”, „Kołysanka” i coś jeszcze, czego nie pamiętam. Kompozycja Palestra, który mieszkał już na stałe w Paryżu – „Expressioni. Expressioni” to trudny, bardzo skomplikowany i wymagający utwór. Praca z Palestrem nad tym utworem była ciężka, był on bowiem niezwykle wymagający, szukał barw, detali, dynamiki i zmuszał mnie do dużego wysiłku. W końcu zadowolony po długiej pracy puszczał mnie do domu. Po spotkaniu wychodziłem z jego mieszkania spocony i zmęczony.

Umówiłem się również na próbę z Kisielewskim. Ta wyglądała zupełnie inaczej. Mieszkałem wtedy w Cite Universite i miałem tam wynajęty fortepian. Nieoczekiwanie w metrze zapytał mnie, czy mam wino w mieszkaniu. Był trochę spięty i zmęczony.

Napiliśmy się po kieliszku, później mu grałem. Nie męczył mnie, wydawał się zadowolony.

Koncert odniósł duży sukces. Palester zarzucał Kisielowi, że jest za mało nowoczesny i dlatego podoba się publiczności.

Zazdrościł Kisielowi sukcesu, mimo, że „Expressioni...” też się podobały. Utwory Kisiela są klasyczne, ale mieszczące się w tradycji muzycznej formy. Sam Kiesel był targany wątpliwościami co do swojego wyboru stylu, ale jak sam pisał:

Pisanie muzyki wybitnie mnie nudzi – to zresztą awangarda mnie „zwariowała” i nie mam wiary we własne poczynania. Oddziałali na mnie à rebours – też bywa. Krótko mówiąc, nowy świat już nie dla mnie. Fatalny sobie wybrałem zawód [publicystyka polityczna – U. C. L.] i przez tyle lat udawałem, że mogę go uprawiać. I wreszcie bomba pękła. A nie lepiej było trzymać się muzyki, kochanej, asemantycznej muzyki? Mądry Polak po szkodzie W ogólnym kłamstwie, jakie tu panuje (czy może cały kraj kłamać?! — ba, musi!) muzyka jest jednak oazą czegoś jednoznacznego. Muzyka nie kłamie – bo nie może. Choć muzycy by chcieli. Nie wierzę w dzieło, które nie wymaga wysiłku technicznego, przewycięzania oporu materii, a jest tylko czystą koncepcją. To łatwizna, unik, nieporozumienie! Coraz bardziej przy tym jestem przeciw filozofującej awangardzie [...]. Trzeba pisać po

swojemu i kwita,

To co pisał Kisiel o nudzie trzeba włączyć w nawias, gdyż do muzyki podchodził z wielką powagą, co widać też w jego innych wypowiedziach. Bogusław Schaeffer krótko i celnie określił kompozycje Stefana Kisielewskiego: „kapitalny dowcip, humor muzyczny i rossiniowska niemal lekkość”.

Mozolnie „składam nutki”, pionowo i poziomo, przed czym, jako przed przestarzałością, ostrzegał Schaeffer. Bóg z nim, ale ja inaczej nie potrafię. Pocieszam się, że jednak w jakiś sposób „wyrażam siebie”, bo słuchacze moją muzykę wyróżniają, nawet bez trudu. Stulecia zatrą perspektywę dziesięcioleci i może ocali się to, co charakterystyczne, a może wszystko przepadnie. (S.K.)

Kiedy poznałem Kisiela doszedłem do wniosku, że Kisiel był niezwykle wrażliwym człowiekiem. Teraz kiedy o nim myślę, wyłania się portret człowieka wybitnego, trzymanego w gorsecie sytuacji politycznej i miotającego się między polityką, a muzyką. I w jednej i w drugiej działalności napotykał opór. Przypisuję sobie zasługi, co do muzyki poważnej, awangardowej:

Również ja dostarczyłem partii matce naszej odpowiedniej formuły: że muzyka nie wyraża treści merytorycznych, ideologicznych czy jakich tam, że to jest „czysta forma” i nie ma się jej co bać. Oni kupili to ode mnie i stąd są np. festiwale Warszawska Jesień i inne pendereckiady. A kompozytorzy zamiast mi być wdzięczni, to mnie nie znoszą i szyją mi buty przy każdej okazji (ci starsi, Baird, Serocki, Turski etc.) Taka to psia wdzięczność na świecie. Represją komunistycznych władz było skazanie artysty na publiczny niebyt. (S.K.)

Mam ciągle kompleks niepotrzebności, nawet w dziedzinie kompozycji: po co pisać, kiedy nie grają? Trzeba z tym walczyć, bo się załamie, a komuniści zatriumfują. Ale jak walczyć? Trochę trzeba się bawić, ale czym? „W co się bawić?”, jak pyta w piosence Wojciech Młynarski. W wolnego człowieka! Okropnie się czuję „bez miejsca na świecie”: co pisać, co robić? Nawet z muzyką nic, nie ciekawi mnie, PWM milczy, mój udział w Związku Kompozytorów zdaje się też pod znakiem zapytania. Najgorsze jednak, że nie mam na nic ochoty, czując się przegoniony przez życie, przez wypadki, może przez wiek?! Starość to rzecz banalna – cierpieć banalnie, fu, cóż to za obrzydła perspektywa! (S.K.)

Po latach Kisielewski zaproponował mi prawykonanie „Koncertu fortepianowego” (1991), który pisał od 11 lat. Okazało się, że był to ostatni utwór kompozytora. Koncert o wyrazistej formie i tradycyjnym języku muzycznym, oparty na koncepcji dialogów instrumentalnych z towarzyszeniem fortepianu. Nie przypominam sobie, abym pracował nad tym koncertem z kompozytorem, raczej przysyłał mi fragmenty ukończonych stron. Spotykałem się z nim tylko na płaszczyźnie towarzyskiej.



*Stefan Kisielewski z żoną Lidią, fot. Krystyna Kisielewska-Sławińska*

Kiedyś spotkaliśmy się w moim domu w Warszawie z Piotrem

Wierzbickim, Tadeuszem Kaczyńskim i Olgierdem Gedyminem. Po kilku kieliszkach... wpadliśmy na pomysł urządzenia konkursu fortepianowego, aby sprawdzić, kto lepiej gra. Konkurs odbył się już po następnych kieliszkach. Pamiętam, że grałem Poloneza As dur w tonacji fis moll Chopina, a później wystąpił Wierzbicki, Kaczyński i Olgierd, ale do dzisiaj nie pamiętam, kto wygrał... (chyba Olgierd).

W każdym razie „Koncert fortepianowy” Stefana Kisielewskiego według mnie jest koncertem wyjątkowym, wybitnym i bardzo trudnym. Wykonałem go na Warszawskiej Jesieni w Filharmonii Narodowej z dyrygentem Jerzym Swobodą wraz z zaproszoną na Festiwal Śląską Filharmonią z Katowic. Koncert miał ogromne powodzenie i sukces. Po raz pierwszy na Warszawskiej Jesieni doszło do bisu, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Nazajutrz z dyrygentem i z butelkami szampana poszliśmy odwiedzić Kisiela. Leżał w szpitalnej salce. Wyglądał dobrze, ale odmówił szampana, patrząc w ścianę. To już nie dla mnie, powiedział. Okazało się, że oglądał w telewizji transmisję, narzekał na niesłyszalne w nagraniu instrumenty dęte. Co prawda telewizorek był pośledni, mały, turystyczny, niestety bez profesjonalnego odsłuchu. Po dłuższej dyskusji nad nagraniem wyszliśmy ze szpitala nie mając pojęcia nad złym stanem zdrowia Kisiela. Dwa dni później Kisiel odszedł.

Po Kisielu została mi wspaniała pamiątka. Otrzymałem nagrodę „Orfeusza” za najlepsze wykonanie na Warszawskiej Jesieni. Z tej statuetki do dzisiaj jestem dumny.

Jak już wspomniałem Kisiel miotał się między muzyką a polityką, wszędzie natrafiając na przeszkody. A to go pobili, a to go nie chcieli wydawać drukiem, albo cenzurowali i wykluczali z działalności publicystycznej, albo nie wydawali kompozycji, natrafiając również na opór kolegów ze względu na klasyczny styl jego utworów.





*Marek Drewnowski, fot. arch. artysty*

Niestety Polacy mają kompleks narodowościowy, który do dzisiaj jest aktualny. Ja to nazywam genem zrazy. Polacy nie popierają Polaków, wolą obcych. Wszystko, co polskie wydaje im się gorsze. Polacy to tzw. wycofani pesymiści („Polskość to nienormalność”, jak powiedział jeden z czołowych polskich polityków}. Gdy spojrzymy na polską historię, to już od XVII wieku artyści zagraniczni SĄ lepsi, kraje sąsiedzkie SĄ lepsze, ich polityka i kultura jest mądrzejsza, towary zagraniczne SĄ pewniejsze, itd. Dlatego Kisielewskiego się nie docenia. Politycy

przywłaszczyli sobie Kisiela, ignorując zupełnie jego twórczość muzyczną i zasługi. A jego wnioski i opinie z tych czasów w jakich żył do dzisiaj są aktualne.

Otóż niżej podpisany piastując od lat zaszczytny tytuł „błazna rewolucji” (nawet tak poważne instytucje jak rewolucja muszą posiadać swych błaznów), ma w istocie duszę smutną i napełnioną pesymizmem. Chętnie zabawiłbym się w Kasandrę, co w Polsce, jak twierdził Ksawery Pruszyński, zawsze się udaje. Dziwne to zjawisko, że właśnie epoka odnowy, a nie epoka rządów głośniejszej jednostki z wąsami, napełniła mnie „integralnym pesymizmem”, ale może to tak zawsze jest na świecie: lepsze widzieć pewne zło niż niepewne dobro. „Najgorsza ta niepewność”, jak mówi znana anegdota o zazdrosnym mężu. (S.K.)

P.S. Po koncercie „Koncertu fortepianowego” Kisiela w garderobie zjawiał się nasz pomnikowy kompozytor. Usłyszałem, jak szeptał do bardzo ważnej krytyczki. „To jest muzyka Bolka i Lolka”. Krytyczka ze zrozumieniem pokiwała głową i puściła te ploteczkę dalej...

---

**W maju maestro Marek Drewnowski został zaproszony przez Fundację Orquesta Filarmónica de Bogotá w ramach programu „Circuito Clásico 2024” do Kolumbii. Koncert w Bogocie będzie miał miejsce 4 maja 2024 r. w sali koncertowej Gran Auditorio Compensar o godzinie 19.00. To szczególne wydarzenie odbędzie się z okazji obchodów rocznicy Konstytucji 3 Maja, przy współudziale Ambasady Polskiej w Bogocie. Marek Drewnowski zagra też w Medellin. Publiczność w Kolumbii będzie mogła usłyszeć m.in. utwory Chopina, Scarlattiego, Mozarta, Liszta.**

\*

**Zobacz też:**

Kasztan Kisiela

---

Romantycznych  
poetów listy -  
hipotetyczna  
korespondencja  
Cypriana Kamila  
Norwida z Adamem  
Mickiewiczem. Część

# 2.



Fot. Pixabay

**Opowieść o losie poety na emigracji. Hipotetyczna korespondencja romantycznych poetów, gdyby Norwid z Nowego Jorku nie wrócił do Paryża, tylko pojechał do Chicago.**

\*

**Adam Lizakowski (*Chicago/Pieszyce*)**

**C. K. Norwid z Chicago pisze list do A. Mickiewicza**

## Szanowny i Wielmożny Panie -

Będzie już trzy tygodnie jak Pański list odebrałem, dziękuję za niego a mnie już rok dobiega mojej obecności w Chicago i wciąż nie mam odczucia, że Ameryka w jakimś stopniu mnie dotyczy, bo praca wśród Polaków i z Polakami na to nie pozwala. Nie mogę jak Kolumb krzyknąć: Ziemia!!! Ziemia!!! Mówią tutaj tylko po polsku, po francusku, czy włosku prawie wcale, nie licząc okazji do rozmów z emigrantami, a więcej używam niemieckiego niż angielskiego. Ale nie czuję się jak Owidiusz na wygnaniu w najdalszy zakątek imperium. Wszakże na własne życzenie stałem się zapomnianym przez ludzi, ale nie przez Boga. Znowu poszedłem coś zjeść do karczmy prowadzonej przez rodaków i najedzony z notatnika kartkę wyrwałem i na niej piszę do Pana, wcześniej na drugiej stronie coś tam szkicowałem, ale tego nie dokończyłem.

Moje życie codzienne to praca i towarzystwo przybyszów z Polski, których tutaj pełno, bo do rzeźni w pracy blisko, ale i do wysypisk śmieci miejskich też nie daleko. Moja sytuacja ekonomiczna pogorszyła się ze względu na chorobę ręki, którą to sobie w Nowym Jorku uszkodził i teraz daje mi się we znaki. Do pokoju, z którego byłem taki zadowolony wzięłem wdowę z trójką dzieci, która wcześniej z innymi Polakami pokłócić się zdążyła i już prawie na ulicy wszyscy spali. Brak w naszej społeczności nie tylko w Ameryce, ale i w Europie tej prostej ludzkiej życzliwości

wobec drugiego człowieka, nie wspomnę już o trosce i miłości bliźniego jest przyczyną wielu tragedii. Kłótnie między rodakami są okropne i wszyscy na tym tracą okrutnie, egoizm, brak poszanowania drugiego człowieka bierze górę nad rozsądkiem i chrześcijańskim podejściem do życia, bo Polak Polakowi wilkiem. *Homo hominy lupus* jak mawiał angielski filozof Thomas Hobbes, tak jak my przez długie lata w Paryżu żyjący.

A serce wypełnione chrześcijańską miłością trzeba mieć ogromne, bo ulica moja jest w dzielnicy ludzi ciężko pracujących i biednych, bo praca nie zawsze wystarcza na utrzymanie rodziny i wielu gęb do wyżywienia. Ciężka praca i trudne warunki życia, a i częste zagładanie do karczmy po alkohol powodują, że Polacy długo nie żyją, stąd wiele młodych wdów z dziećmi, a i śmiertelność wśród nich jest wysoka. Teraz ja pełnię rolę „głowy rodziny” zupełnie obcych mi osób, bo wdowa, chociaż ze Śląska to nie ma tutaj krewnych tylko w Teksasie, a tam jechać do nich nie ma za co. Jak to wszystko się zakończy Pan Bóg raczy wiedzieć. Ona chce łóżko dla siebie i kawałek podłogi dla dzieci ode mnie wynająć, aby jak najwięcej zaoszczędzić i wyjechać, ale gdzie pojedzie z tego Chicago, ani pisać ani czytać nie potrafi. Wszędzie gdzie będzie, jeśli znajdzie, jaką pracę to zarobi niewiele jedynie do czyszczenia i sprzątania się nadaje, ale to robią wszyscy i o robotę będzie trudno. W starym kraju pracowała na roli to i jest silną kobietą, może jej mięśnie wytrzymają ten nadludzki wysiłek, jeśli jaką pracę znajdzie.

Wracając do mnie w takich warunkach nawet nie wiem jakbym chciał, do pracy twórczej nie byłbym w stanie wrócić. O żadnym pisaniu utworów być mowy nie może, ale najstarszego syna wdowy czytać i pisać uczyć mogę, jeśli nie jestem zbyt zmęczony, a on rozbawiony swoim rodzeństwem.

Żyjąc takim amerykańskim życiem o Paryżu i Francji już prawie zapomniałem, jedynie mocnej Polska weszła we mnie poprzez chicagowskich rodaków. Czasy głodu i postu dla mnie osobiście wymuszonego przez sytuację przeszły, ale nie dla rodaków tej różnorodnej masy ludzkiej, której rząd amerykański w żaden sposób nie pomaga. Nawet spotkałem weteranów, byłych powstańców z listopada 1831 roku, co to po jego upadku na siłę z Galicji zostali do Ameryki wywiezieni. Jestem tu w społeczeństwie zupełnie mi nieznanym i wszech miar innym, ale mogę żyć z pracy fizycznej moich rąk. Żadnych nowych wierszy nie napisałem, i coraz mniej mam czasu na pisanie i rozmyślanie. Do mojej powiernicy serca tej jedynej przyjaciółce, która nigdy o mnie nie zapomniała Marii Trębickiej też nie piszę, chociaż tak chętnie jeszcze z Nowego Jorku pisałem i nowe utwory posyłałem. Pisanie, twórcze myślenie odeszło wraz z wyczerpującą pracą, taka jest cena chleba, taka jest cena stawy w Ameryce. Wcześniej jeszcze z Nowego Jorku do Pana pisałem prośbę o pomoc finansową na bilet powrotny, aby Pan raczył w moim imieniu zwrócić się do hr. Ksawerego Branickiego, czy hr. Rogera Raczyńskiego, bo chciałem z Ameryki do Polski albo



Turcji się wydostać. Zapadło jednak w tej sprawie głucho milczenie, a i moje plany się zmieniły, jestem w Chicago i stąd nie zamierzam się ruszać, póki co. Brakuje mi Europy i jej kultury, muzeów i galerii, ale też rozumiem Pana i jego niechęć do pisania wierszy i tak nieopatrznie wspomnianej przeze mnie propozycji napisania poematu *Pani Zosia*, który byłbym niejako kontynuacją *Pana Tadeusza* na amerykańskiej ziemi. Wiem pomysł szalony, ale, ale czyż mnie w Paryżu Polacy nie nazywali „starym dziwakiem?”

I aby skończyć z tym „dziwakiem”, napiszę szczerze, że żadnych książek z Nowego Jorku ze sobą do Chicago nie zabrałem, ani takiej, co bym chętnie teraz czytał, ani takiej, co by mi była potrzebna. Jedynie starą wysłużoną Biblię z sobą wziąłem, którą jeszcze w Polsce matka mi podarowała. Ta myśl, aby nic poza Pismem Świętym nie zabierać i nie dźwigać i nie płacić za bagaże narastała we mnie powoli, bez pośpiechu zgodziłem się na wędrowca, którego jedynym dziennikiem pokładowym jest Słowo Boże. Nie czas na Muzy, gdy głód kiszki ściska, a na grzbiet nie ma, co założyć. Biblia to taka książka, którą można na chwilę odłożyć, gdy człowiekowi powieka się zamyka, albo, gdy na stole talerz gorącej zupy postawią. I gdy się ją zje i zanim rybę przyniosą znowu można ze dwie strony przeczytać, podnieść wzrok by po twarzach w jadalni na zebranych popatrzeć, zastanowić się, pomyśleć pomiędzy łykami wina. Pan Bóg za takie czytanie się nie obrazi, a i czas dany mam od Niego

mile przeminie. Piszę Ci o Tym Panie, bo takiego Norwida nikt we Paryżu nie znał. Karmiony naszą historią i tragedią narodową, naszymi narodowymi wadami i gadulstwem, postanowiłem tutaj z dala od paryskich kłótni spraw narodowych złamać pióro i odpocząć. Gdy tęsknota za tym, co zostało na drugim brzegu Atlantyku powróci, i po raz kolejny poczuję chęć i nabiorę sił, gdy Pan Bóg pozwoli to do Europy wrócę. Pamiętaj drogi poeto o zdrowiu i modlitwie, którą ja każdy dzień rozpoczynam i kończę, i jeśli ktoś z naszych znajomych się Ciebie zapyta, czym na oceanie zatonął, powiedz mu, że tak, że zatonąłem w preriach amerykańskich nad jeziorem Michigan.

Cyprian Norwid

\*



Fot. Pixabay

## A. Mickiewicz pisze list do C.K. Norwida

Mój drogi Norwidzie!

Nie odpowiedziałem natychmiast na list Twój, bo skoro jesteś w Ameryce, a tam są wszyscy na „ty”, które brata każdego z każdym, więc piszę do Ciebie bezpośrednio. Mnie też ten amerykański sposób życia się podoba, chociaż czasem denerwujące jest te „you”. Obecnie zajęty jestem ponad ludzkie siły, jak za pewnie wiesz, wojna na Krymie się już na dobre rozpoczęła. Nadszedł czas, aby urzeczywistnić marzenia nie tylko polskich emigrantów o wojnie powszechnej w Europie.

Czas pomyśleć o wznowieniu pisma *Tribune des Peuples*. Wojna na Krymie może być tym na co czekały wszystkie narody europejskie walczące z monarchiami i despotyzmem.

Ty sobie w Ameryce żyjesz, a my tutaj w Paryżu mamy nadzieję, że na tym konflikcie nasza ojczyzna może skorzystać i aby nie siedzieć z założonymi rękami chcę jak najwięcej narodowej sprawie się przysłużyć. Orient zawsze mnie interesował i teraz nadarzyła się ku temu nie lada okazja. Planuje wyjazd do Stambułu, aby być bliżej teatru tej wojny. Rozmawiam z Francuzami, aby ze swoim sekretarzem tam się udać, chcę za wszelką cenę Francuzów naszą sprawą zainteresować, a i finanse też mi idzie, bo jak wiesz, bez ekonomii nic nie będzie.

Wracając do Twojego listu, po raz wtóry Ci piszę, że nie wiem, co mam Ci odpowiedzieć i co mam Ci odpisać. Opisywane przez Ciebie dole Polaków wielki smutek we mnie budzą, chociaż wiem, że za szczęściem i lepszym życiem ocean przepłynęli. Tę niedolę powiększa odległość przez ogrom wody, bo jak wiesz w Europie nasi uciekinierzy też łatwego życia nie mają. W słowach o emigrantach jak i w Twojej poezji nie widzę światła, i to mnie martwi. Popadłeś w depresję sam sobie blokadę pisarską na ręce założyłeś. Nie czytasz książek, bo ich nie masz, jedynie modlitewnik, nie piszesz wierszy, ani poematów nie układasz, nie rysujesz ani nie rozmyślasz, ale jednak żyjesz, widać, że wola taka jest Pańska, aby żyć życiem doczesnym wprzód duchowo-

artystyczne pogrzebawszy. Nie wiem, co lepszym by było zginąć od fal oceanu niż umierać na prerii chicagowskiej? Sam sobie musisz na to odpowiedzieć. Jak wiesz wszystko jest w rękach Pana Boga, a życie nas, co chwila niedostatkiem i niewygoda doświadczają.

Dziękuję za zaszczyt, jakim mnie obdarzyłeś kładąc pod moje pióro dzieje polskiej kobiety i za razem Polaków w Ameryce, za które to nienapisane dzieło na moim czole obiecujesz mi nieśmiertelność nakreślić. Ale nie tędy moja droga nie piórem, ale działaniem na rzecz naszej ojczyzny widzę swoje przeznaczenie. Czasy wielkiego czytania i pisania dla mnie dawno już minęły, to, co kiedyś tak mnie uszczęśliwiała, co tak kochałem zastąpiłem inną miłością.

Rozpocząłem ten list od wojny Krymskiej i na niej zakończę, być może Pan Bóg pozwoli, (choć nie chcę Go do tego mieszać), że mocarstwa zaborcze Prusy, Austria i Rosja, co przekształciły Polskę w posiadłość kolonialną, a naród nasz pod buta wzięły na tej wojnie tracą więcej niż im się wydaje. Anglia i Francja zdaje się są po naszej stronie i doskonale rozumieją poczynania zaborców, ich skoordynowane wysiłki, aby stłumić wszelkie przejawy autonomii politycznej dla swoich polskich poddanych. Zaborcy nie pozwalają nam się rozwijać, gdy cały świat Zachodu postępowo dotknięty, nas w ciemnocie trzymają. Teraz nadszedł czas, aby nasi chłopcy własną ziemię we własnej ojczyźnie

uprawiali, aby nikt głodny za chlebem nie musiał emigrować.  
Szczęście jest tylko w ojczyźnie, to moja myśl teraz główna,  
dlatego na Wschód się wybieram, gdzie powiew wiatru wolności  
każe Polakom głowę do góry podnieść.

Łączę wyrazy uprzejmej pamięci.

Paryż 1854

Adam Mickiewicz

\*

**Część 1:**

Romantycznych poetów listy – hipotetyczna korespondencja  
Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 1.

\*

**Adam Lizakowski** – poeta, tłumacz, fotograf. Urodził się w  
rodzinie żołnierza, który przeszedł cały szlak bojowy spod  
Lenino do Berlina. Odznaczony srebrnym krzyżem Virtuti  
Militari, który po zakończeniu II wojny światowej osiadł w

Górach Sowich we wsi Glinno położonej w województwie dolnośląskim w powiecie wałbrzyskim w gminie Walim. Jego ojciec Edward miał 10 hektarowe gospodarstwo rolne po Niemcach, którzy pomagali mu, zanim zostali wysiedleni. Adam Lizakowski debiutował w roku 1980 w ogólnopolskim *Tygodniku Kulturalnym*, dzięki poecie Tadeuszowi Nowakowi, który w swoich utworach opisywał wieś i poruszał tematykę chłopską. Od 1981 roku przebywał poza granicami kraju. Studiował na Columbia College Chicago (BA) i Uniwersytecie Northwestern w Chicago (MA). Tłumacz poezji amerykańskiej, m.in. Walta Whitmana, W.C. Williamsa, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Carla Sandburga, Roberta Pińskiego i Boba Dylana. Także z angielskiego przełożył ponad 50 wierszy chińskiego filozofa i poety Lao Tse oraz wiele wierszy perskiego poety z XII w. Rumiego. Związany z poetyckim ruchem w San Francisco i Chicago. Był wydawcą kwartalnika *Dwa Końce Języka* w Chicago oraz redaktorem naczelnym miesięcznika *Razem* wydawanego w San Francisco. Przez wiele lat publikował wiersze w paryskiej *Kulturze*. W 2016 roku powrócił do Polski. Jest autorem ponad tuzina książek m.in. „Pieszyckie Łąki”, „Złodzieje czereśni”, „Jak zdobyto Dziki Zachód” czy „Pieszycka księga umarłych” wydana w 2022 roku przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa.

\*

## Zobacz też:

Walt Whitman. Pozdrawiam Świat - Salut Au Monde!

Poemat „Salut Au Monde!” Walta Whitmana

List Do Generała Suttera

---

# Romantycznych



poetów listy -  
hipotetyczna  
korespondencja  
Cypriana Kamila  
Norwida z Adamem  
Mickiewiczem. Część  
1.



Fot. Pixabay

Opowieść o losie poety na emigracji. Hipotetyczna korespondencja romantycznych poetów, gdyby Norwid z Nowego Jorku nie wrócił do Paryża, tylko pojechał do Chicago.

\*

**Adam Lizakowski** (*Chicago/Pieszyce*)

Będąc w Chicago przez prawie 30 lat, natrafiłem na listy poetów romantycznych w jednym z domów starych emigrantów, sprzątając ich strychy i garaże. Cztery listy były w jednej kopercie z dużym kolorowym znaczkiem odręcznie zaadresowanej i nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie nazwisko Cyprian Norwid, napisane ładnym okrągłym pismem. Koperta ta włożona była do pudełka po butach firmy

obuwniczej *Florsheim Shoe Company* z datą 1905 rok i ceną pięciu dolarów przykleją na boku. Były jeszcze i inne listy w tym pudełku z różnych lat z ładnymi znaczkami z Europy jeszcze sprzed I i II wojny światowej. Zapytałem właściciela domu czy mogę je wyrzucić na śmietnik, odpowiedział, że tak, ale muszę je włożyć do worka z papierami. Jakiś diabeł uczciwości mnie podkusił i zapytałem się go czy nie szkoda mu znaczków, tak kolorowych i odpowiedział, że szkoda i wtedy się połapałem, że okropny ze mnie frajer, bo o ładnych znaczkach niepotrzebnie wspomniałem. On, gdy o tych znaczkach nagle dla niego wartościowych usłyszał, kazał sobie zapłacić całą moją dniówkę pracy u niego, na co nie mogłem sobie pozwolić. Ale będąc w dobrym nastroju uprosiłem go, aby mi te cztery listy pozwolił przepisać, co zrobiłem i teraz do wiadomości publicznej podaję. Właściciele domu i tych listów już do trzech pokoleń nie mówią po polsku, a na moje pytanie skąd się u nich wzięły, odpowiedzieli, że pradziadowie wynajmowali mieszkania rodakom i być może ten Norwid u jego prapradziadów mieszkał, i wracając do Europy, aby mu ciężko nie było, wiele swoich szpargałów pozostawił. Jedynie z workiem przepasanym sznurkiem wzdłuż ciała z domu do Union Station poszedł na pociąg do Nowego Jorku. Nie on jeden zresztą, bo wszyscy tak robili, co szczęścia gdzie indziej szukali.

\*

## C. K. Norwid z Chicago pisze list do A. Mickiewicza w Paryżu

### Szanowny i Wielmożny Panie -

Długo mógłbym pisać o osobistych mych cierpieniach, które były powodem, iż po czternastu miesiącach w Nowym Jorku najpierw dyliżansem, a później koleją żelazną poprzez Filadelfię, Baltimore i Buffalo po tygodniu podróży do Chicago dojechałem. Drogę miałem wygodniejszą, bo po ziemi pod stopami, niż statkiem po oceanu głębinach do Ameryki, gdzie w strachu i o głodzie, Najwyższego o życie prosiłem. Moje modlitwy o lepsze jutro zostały wysłuchane, chociaż to nie Wschód Ameryki, ale jej Środkowy Zachód do mnie się szczęściem uśmiechnął. Nie chciałem niewolnikiem pracy artystycznej w Nowym Jorku zostać, chociaż nigdzie na świecie tak dobrze za bycie artystą nie płać, jak w Ameryce. Płać, ale i artyści wolność chcą kupić, albo ograniczyć. Po zakończeniu pracy dla redakcji *Almanachu Ekspozycji Uniwersalnej* po raz kolejny w długach po kolana ugrzęzłem, choć pracy miałem aż po same łokcie, ale mi nie płacili jak obiecali, oszukiwali, to miałem wyrzuty sumienia, że za nic się sprzedaję. Aż tu pewnego dnia spotkałem pewną grupę rodaków spod Rzeszowa, co to za chlebem na Zachód jechali i z nimi się zabrałem przymuszonym głodem i chorobami, że gorzej być nie może, tylko będzie lepiej a w Panu nadzieję pokładałem. Wielu naszych rodaków tak robiło, co to ze statków z Europy

zeszli i do Chicago się kierowało. Nie umiem powiedzieć jak wiele nerwów i zdrowia decyzja ta mnie kosztowała, ale się nad wszelkich miar opłaciło.

W Chicago mogę powiedzieć praca leżała na ulicy, bo ledwie zemdlałem z pociągu wysiadłem, Żyd z długą brodą wpół zgięty do pracy w rzeźni zapraszał, podawał adres i na wstępne rozmowy kierował. Poszedłem i ja z moimi podróżnymi pełen obaw i pracę dostałem od zaraz, tak, że po kilku tygodniach ponad moje siły ze wszelkich artystycznych zapędów się wyleczyłem, te moje biedne modlitwy o lepsze jutro zbliżyły mnie do pracy ludzi. Stać mnie na wiele, w małym domku z ogródkiem przy ulicy Milwaukee mieszkam. Mam swój pokój i własne łóżko, a to już nie małe osiągnięcie, bo są tutaj i tacy, co tylko na podłodze śpią, albo na dwa krzesła tylko ich stać i na nich nocują w przedpokojach. Są też tacy, co i na pokój byliby stać, ale oszczędzają dolary i do rodziny w kraju wysyłają, sami sobie od ust odejmując. Wyzdrowiałem z wszelkich chorób i słabości i sam sobie usługuję, myję podłogę w moim pokoju i posadzkę w domu, chodzę boso dla prostoty i aby tych biednych, z którymi mieszkam uszanować.

Na mieście w polskich karczmach obiadam, jedzenie nie drogie proste, baby zwykłe je gotują, co to i chłopcy i dzieci na wsiach polskich karmiły dobrze, aby siły w polu miały. Kuchnia chłopska na krupach i pierogach oparta, lepsza od francuskiej,

bo Amerykanie na jedzeniu ani krzty się nie znają. A i wygodnie mi tak, gdy po dziesięciu godzinach z pracy do siebie wracam. Teraz w sobotę też w karczmie jestem, zaszedłem z karteczkami papieru, aby napisać tych kilkanaście zdań i drugi raz nie wychodzić z listem do pudełka pocztowego. A w karczmie i chleb dobry, i zupa na krupach ze śmietaną wyśmienita, i jeszcze świece mają na każdym stole, co na moich kupnie mogę zaoszczędzić. Nikt mnie tutaj nie zna, i nikt nic nie wie, cokolwiek bym ludziom nie powiedział i tak by mi uwierzyli, chociaż krzywym okiem na mnie patrzą, bo umiem czytać i pisać. Strój też mam inny niż polscy chłopci, bo zachodnio europejski surdut, a chłopci nasi do swych kapot mocno przywiązani i podejrzliwi, taka ich natura nieufna, nie chcą ze mną się bratać, bo mówią jak czytać i pisać umiesz, toś niebezpieczny. Aby ich jeszcze bardziej wrogo do siebie nie nastawiać, nawet nie wspominałem com malował, a com pisał, a com rzeźbił, nikt tutaj na takie sprawy czasu nie ma. Zegarek srebrny kieszonkowy szpindlak też schowałem, bo w oczy ich kuł, gdy czas sprawdzałem. Ludzie praktyczni, kiedy chcą modlitwy, to naznaczają czas i dzień, w którym sami się modlą, i ściśle tego przestrzegają.

Co do mojego amerykańskiego życia, to jak wyżej pisałem całkiem ono się zmieniło, i europejskie wyparło, o sztukach pięknych zapomniałem, czasu na to nie ma, arystokracji nie ma wokół, i wszyscy wszystkim równi, a ludzie tylko pracą i

modlitwą żyją. Obecnie Chicago z rzeźni słynie w całej Ameryce, drogami żelaznymi przywożą krowy z najdalszych prerii. Jestem wśród rodaków tłumaczem, bo po niemiecku dobrze mówię, nieopatrznie się wygadałem, gdy o ostrzeniu noży sprawy się miały. A ostry nóż i siekierą to podstawa pracy w rzeźni, to jak farby i płótno dla malarza. Pół Europy tej Wschodniej to rzeźnicy tutaj, i wszyscy wschodnio Europejczycy po polsku mówią, bo bez mowy polskiej, dla nikogo tutaj nie ma pracy, nawet dla Czechów czy Serbów, chyba, że to Niemiec, bo tylko Niemcy są tutaj ponad wszystkimi i tylko oni są majstrami. Tak się ułożyło, że żaden Słowianin nie może zostać przełożonym Niemca, choćby nie wiem jak dobrze by pracował. Ale nic to, ja sobie Amerykę pracowitą chwale i Chicago też, bo piękno na to jest, by zachwycało, – praca, by się przez nią zmartwychwstało. (C.K. Norwid, „Promethidion”, przyp. red).

Drogi Panie Adamie, jeśli mogę tak do Pan się zwrócić, zapraszam do Ameryki, czas na to, aby opisać ją, a w niej i rodaków naszych, przede wszystkim kobietę, jakim poematem ojczystym. Tom drugi *Pana Tadeusza*, czas napisać, w którym główną osobą była by kobieta z Chicago. Zosia w kuchni pracująca, albo gdzie u jakiś bogatych Amerykanów na sprzątanii, pilnowaniu dzieci i prowadzeniu domu. W moich oczach kobieta w Ameryce nabrała innego znaczenia niż w Europie, teraz wszystkie kobiety serdecznie kocham, w każdej widzę piękno i te wewnętrzne i te zewnętrzne. Czy to oprawę

oka i tok spojrzenia — czy to ramię, czy szyi obrót, czy głos, czy udatność ruchu, czy serca powab, czy łzę, czy arabską linię łęku stopy — czy włosów jedwab... — W każdej takiej kocham się bardzo serdecznie, bez względu, azali jest matką, żoną, wdową, siostrą, imperatorową, wiejską dziewczyną, księżną rzymską, hrabiną austriacko-polską etc. Od wydania *Pana Tadeusza* dwadzieścia lat mija, nowe pokolenie się urodziło, poemat o Polsce w Ameryce *Pani Zosia* czeka na swojego mistrza, co by Pańskim talentem go napisał. Czas kobietę przedstawić ciężko pracującą na kawałek chleba u boku mężczyzny w Chicago, w Ameryce wielkiej i dającej naszym rodakom zarobić na chleb. Matka, żona, chrześcijanka, to, co w ojczyźnie najwyżej cenione, tutaj ma dwukrotną wartość. Niech w litewskich kniejach pozostaną tamtejsi szlachcice z XVIII wieku, awanturnicy, safandudy, facecjniści, czy gawędziarze. Czas iść z duchem czasu XIX wieku. Zaokręć się Pan jak najszybciej do nas przybywaj, pokój mam obszerny dwa łóża w nim staną, zapraszam do siebie, Ameryka widziana oczami Polaka na swój poemat czeka.

Chicago, jesień 1853 rok.





Fot. Pixabay

\*

## A. Mickiewicz pisze list do C.K. Norwida

### Szanowny i Wielmożny Panie!

Tego po Panu bym się nigdy nie spodziewał, że tak łatwo i szybko znalazł Pan w Chicago swoje miejsce na ziemi i pracę, której tak bardzo brakowało Panu w Europie. Nie będzie Pan jak Cygan szukający swojego miejsca, ale jak Żyd co znalazł swoją ziemię obiecaną i pracę po latach wędrówki. Co to za praca, Bóg raczy wiedzieć i niech on ma Pana w opiece. Emigracja polska to wioska za wioską chłopi skuszeni marzeniami o własnej ziemi i dolarach. Jak się Pan wśród nich odnalazł nie mam pojęcia, ale

Pana podziwiam, tak samo jak ich, bo ani oni, ani Pan nigdy nie pracowaliście pod dachem w fabryce, ani żadnej innej takiej instytucji, gdzie człowiek stoi obok człowieka i pracuje. Jak oni tam się czują, nie potrafię sobie wyobrazić, jak oni pracując całe życie w polu odnaleźli się w fabrykach i domach murowanych za tym oceanem, jeden Bóg raczy wiedzieć. Oni przybyli bez grosza, może, jeśli Bóg pozwolił z kilkoma dolarami w kieszeni bez zawodu, bez języka, bez umiejętności czytania i pisania. Ta droga w nieznaną – pokładam w Bogu nadzieję, – że nie będzie ich drogą krzyżową. Pan dla mnie jest pierwszym polskim szlachcicem, który pracuje w Chicago i to w rzeźni. W Ameryce, brata się z polskim ludem. Dla mnie jest Pan pierwszym polskim socjalistą, Polakiem, w którym uczucie socjalne stało się namiętnością, czynem i rzeczywistością, a wybuchnie ono w duszy ludzi prawdziwie religijnych i patriotycznych, takich właśnie jak Pan. Uczucia religijne i patriotyczne są podstawą socjalizmu. Co z tym uczuciem Pan robi nie wiem, ale żałuję mocno, że nie napisał Pan do mnie, gdy jeszcze był w Nowym Jorku, w którym to mam sporo przyjaciół amerykańskich. Gdy pisał Pan do mnie jesienią tego roku właśnie mijały dwa lata jak umarł mój wielki przyjaciel James Fenimore Cooper, autor za pewno i Panu znanej powieści pod tytułem *Ostatni Mohikanin*, ulubiona lektura europejskich chłopców, a także i polskich, bo jest w języku polskim wydana. Pana Coopera wiele lat temu w 1830 roku poznałem w Rzymie i odnalazłem w nim bratnią duszę. To on w następnym roku 1831 w Paryżu, Komitet Amerykańsko-

Polski zorganizował śląc wielką pomoc dla powstania listopadowego. Nie muszę Panu pisać, jakim wielkim przyjacielem był on Polaków, zjednał na członków Komitetu przeszło stu wybitnych Amerykanów, przebywających wówczas we Francji, ułożył płomienną odezwę do narodu amerykańskiego, wykazując, że pomoc Polsce jest jego obowiązkiem i że prawa Polski są bezsprzeczne. Jego córka Zuzanna jest ze mną w stałym kontakcie, ale na Wschodzie Ameryki mieszka.

Wracając do Pana wiem, jak Pan bardzo ceni sobie sztukę europejską, jak bardzo cenił sobie salony francuskie i polskie w Paryżu, a tu teraz takie wiadomości mi piszesz. Pan należący do najwybitniejszych polskich artystów we Francji. Pan malarz i rzeźbiarz, poeta i myśliciel bardzo cenne swoje talenty rozmienia na drobne i przodownikiem pracy, tłumaczem rodaków w rzeźni niemieckiej zostaje. Trudno jest mi w to uwierzyć jeszcze o tych Pańskich zmianach życiowych do naszych znajomych i przyjaciół nie pisałem, nie chciałem żadnej sensacji robić wśród poetów Lenartowicza, Krasickiego, czy innych. Czekam na Pański następny list nie bardzo wierząc w to, co było napisane w pierwszym, bo jak zgaduję pisał Pan go pod wpływem emocji, albo i jeszcze innych okoliczności. Jestem przekonany, że w następnym liście wszystkiemu Pan zaprzeczy i napisze tym razem w innym tonie, że zamierza wystawić swoje świeżo wykonane prace artystyczne, bardzo wysoko cienione przez miejscowych znawców w jakimś zacnym miejscu w Chicago i tym

samym przyczyni się do powstania nowej sztuki amerykańskiej, renesansu Ameryki. Nie uwierzę, że emigracja chłopska sprowadziła Pana do jednowymiarowego poziomu wszystkich emigrantów, którzy swoją obecność w Ameryce tylko ciężką fizyczną pracą zaznaczają.

Jeśli wiąże Pan swoje życie i służbę dla rodaków w rzeźni, nie wiem, co miałbym Panu powiedzieć, co miałbym napisać. Wspomnę na nasze długie rozmowy o literaturze i filozofii, pozwoliły mi one przekonać się, że rozmawiam z człowiekiem równym europejskiej cywilizacji, umiejącym osądzić rzeczywistość życia codziennego z najbardziej wyszukaną poezją francuską czy niemiecką. I teraz ten list o tym, jakiego dokonał Pan sądu o swoim życiu na uboczu spraw wielkich, życia wydającego się spokojnego i cichego na ziemi Waszyngtona, ale wiem, że to złudzenie i to też Pan wie. Widzę w Pańskich słowach wiele nieszczęść, przez jakie przeszedł Pan w Europie i ta chęć do pisania o prawdzie i pięknie, bo tylko prawda może być piękna, bo tylko piękno może być dobrem. Że zrozumiał Pan, że te francuskie i paryskie ozdóbki, kwiatki w kryształach wstawione na stołach z marmurowymi blatami są niczym, jeśli w nim głębszej myśli nie ma. Te błyskotki świecące jak robaczki w maju, gdy nadejdzie ich czas gasną i nawet wspomnienie o nich nie trwa dłużej niż chwila.

Jak mawiają Amerykanie; *and now last but no least*, chciałbym

wrócić do Pańskiej propozycji napisania dalszej części *Pana Tadeusza* o kobietach w Chicago, albo w Ameryce pod tytułem *Pani Zosia*, i tu po raz kolejny Pan mnie zaskoczył. Pomysł wydaje mi się arcyciekawym i przednim, ale ja jak Pan wspomnieć raczył, od wielu lat poezji nie pisałem i pisać już nie chcę. Przecenia mi Pan, to, co zrobiłem będąc młodym, zrobić w tym teraz wieku nie jestem w stanie. Tak samo jak do Ameryki nie zamierzam się wybierać, bo tu w Europie jest Polska i jej będę służył z całych moich sił dopóki mi ich starczy. Tutaj jest moja ojczyzna i rodzina, dzieci moje i moje sprawy do załatwienia. Poza tym nie zamierzam w Chicago w rzeźni pracować i po dziesięciu godzinach pracy ponad ludzkie siły w nocy świecę palić i poemat pisać, bo jak sam Pan wiesz, nikt tam złamanego grosza na poezję nie wyda, a polskiej arystokracji się tam nie znajdzie. Nie skarżę się na rodaków w Ameryce, co to za chlebem do niej popłynęli, a nie po poezję, i tutaj w Europie też za chlebem jesteśmy, ale do pisania wierszy w Chicago o polskich kobietach żadna siła mnie nie zmusi. Projekt Pański o Zosi uśmiech na mej twarzy wywołuje i nie mogę powstrzymać się od śmiechu, proszę wybaczyć mój styl i swawolność, ale znam powagę, piszemy o rzeczach ojczyistych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonomy, dla stangreta (czy jak u was mówią dla fornala) nawet. Pan myślisz, że moje śliczne pisanie będzie się rymowało i z myślenia zwalniało, a także z estetycznych i etycznych doznań. Dlatego się uśmiecham na Pańską propozycję, bo uważa Pan, że poemat *Pani*

Zosia szybko trafi pod strzechy, ale ich w Ameryce w dużym urbanistycznym mieście już niewiele a Polska daleko. Prawda jest taka, że moje pióro, czym innym teraz jest zajęte, moje serce i głowa gdzie indziej, poza tym każdy, kto chce pisać musi czytać, mówić i rozmyślać o tym, co chce napisać. Ameryka jest daleko, tylko od strony pieniądza podziwiana, jak żyją w niej Polacy być może za sto lat po nas ktoś o nich napisze, ale czy w Polsce będą chcieć o tym czytać tego nie wiem. Trzeba nam wielkiego zapasu cierpliwości. Dziękuję za pamięć. W domu u mnie wszyscy zdrowi, bądź zdrow też. Za chwilę kończy się ten rok 1853, niech dobry Pan Bóg sprawi, aby nowy był jeszcze lepszy. Życzę wiele szczęścia i łask Bożych.

Z poważaniem.

Adam Mickiewicz

\*

**Część 2:**

Romantycznych poetów listy - hipotetyczna korespondencja Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 2.



## Zobacz też:

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

Adam Lizakowski - sześć wierszy o Chicago

---

# Paryż, Luksemburg i nagroda Marca Chagalla



Pałac Schaffgotschów we Wrocławiu, lata 1900-1910, po II wojnie światowej legendarny klub studencki „Pałacyk”, fot, Pinterest



## **Kazimierz Głaz** (*Toronto*)

Gdy po raz pierwszy został POKAZANY brazylijski film „Karnawał w Rio de Janeiro” w komunistycznej Polsce, od razu odniósł wielki sukces. Fantastyczne tańce, muzyka i nieznany świat poruszyły młodą i starą publiczność. We Wrocławiu, gdzie wówczas studiowałem sztuki piękne, mieliśmy swoje miejsce, klub studencki „Pałacyk”, który przypominał mały zameczek. Słynał z dobrze zaopatrzonego baru i restauracji. Serwowano tam nawet francuskie wina.

Gdy rozeszła się wiadomość, że brazylijski muzyk i profesor (polskiego pochodzenia), wygłosi wykład o kulturze i muzyce Brazylii, byłem tam z setkami innych zainteresowanych.

Profesor Bruno Wyzuj z Luksemburga wygłosił wykład po angielsku, a potem grał brazylijską muzykę znaną nam z filmu. Ktoś z miejscowej opery tłumaczył go na język polski. Język angielski nie był wówczas popularny, a znajomość angielskiego mogła być podejrzana i niepoprawna politycznie.

Byłem prawdopodobnie drugą osobą na sali, która rozumiała ten język, więc po wykładzie podszedłem do wykładowcy, żeby z nim porozmawiać. Był bardzo zadowolony z rozmowy prywatnej. Interesował się sztuką, więc zaprosiłem go do swojej pracowni. Wybrał kilka obrazów z mojej bizantyjskiej serii i przewidział

nieoczekiwane wydarzenia, które miały potem nastąpić.

Powiedział: jeśli spodobają się Reginie, mojej żonie, odniesiesz sukces.

Niedługo napisał, że Reginie bardzo się spodobały moje obrazy, więc miałem nadzieję, że ten sukces osiągnę..

Wkrótce okazało się, że moje prace zostaną pokazane na IV Międzynarodowym Biennale w Paryżu w 1965 r.

## **Paryż 1965 r.**

Oczywiście moja podróż do Paryża i Luksemburga nie była tak łatwa, jak się to może dziś wydawać. Nie można bowiem zapomnieć o uwarunkowaniach historycznych tamtych lat. Miałem reprezentować Polskę na międzynarodowej wystawie sztuki i zostałem zaproszony na jej otwarcie do Paryża. Ze względu na polityczny podział Europy po wojnie, sześć miesięcy zajęło mi uzyskanie paszportu, wizy i pieniędzy zwanych wtedy dewizami. Wreszcie, kiedy udało mi się załatwić wszystko, co było potrzebne, czas minął i wystawa była już zamknięta. Ministerstwo Kultury zezwoliło mi na zakup 300 franków francuskich na podróż. Taka kwota mogła mi wystarczyć jedynie na trzydniowy pobyt w tym pięknym mieście. Legalnie można było mieć wtedy tylko 10 dolarów USA w kieszeni.

Tak więc jestem w Paryżu w połowie grudnia 1965 roku. Byłem oczarowany świątecznymi dekoracjami tej światowej stolicy kultury.

Na szczęście mówiłem po francusku wystarczająco dobrze, aby porozumiewać się. Znałem tylko jednego francuskiego artystę, którego spotkałem kiedyś we Wrocławiu. Powiedział mi wtedy, żebym do niego zadzwonił, jeśli kiedykolwiek przybędę do Paryża. Zadzwoniłem więc. To rozwiązało moje problemy z noclegiem.

Poszedłem do biura Międzynarodowego Biennale, aby otrzymać bezpłatny katalog. Sekretarka sprawdzająca moje nazwisko nie tylko dała mi katalog, ale niewinnie zapytała, czy wiem, że otrzymałem nagrodę. Nie miałem oczywiście o tym pojęcia.

- Ile? Spytałem nerwowo.

- Nie wiem, ale to musi być dobra nagroda, ponieważ przekazał ją Panu Marc Chagall ze swojej nagrody, którą otrzymał w Amsterdamie (*Erasmus Prize, red.*).

- Niesamowite, wyszeptałem i wyszedłem bardziej zdezorientowany niż byłem wcześniej. Szykowałem się na powrót do domu, kończąc moją paryską przygodę. Teraz jednak musiałem zdecydować. Zostać tutaj czy wrócić do domu, aby tam

czekać na dalsze informacje. Jednak znając konsekwencje polityczne, jakie mogą mnie spotkać po powrocie, zdecydowałem się zostać i udać się na krótką wycieczkę do Luksemburga, aby odwiedzić Bruno Wezuja.

## **Luksemburg 1966 r.**

Późną nocą przyjechałem do tego słynnego miasta. Znalazłem dom przy głównej ulicy. Przywitali mnie Bruno i Regina. Następnego dnia ktoś zapukał do moich drzwi.

- Puk, puk. Było wcześnie rano. Do mojego pokoju przyszedł uśmiechnięty, mały dzieciak.

- Bonjour Cazimir, powiedział zaraz po wejściu. Mam na imię Max. W jakim języku chcesz ze mną rozmawiać? Mówię po niemiecku, francusku, angielsku i luksembursku.

- Ho, ho, pokiwałem głową, to nieźle, jak na pięcioletniego mężczyznę. Znam prawie tyle samo języków co ty, z wyjątkiem miejscowego, bo dopiero wczoraj przyjechałem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i używając wygodnego języka francuskiego kontynuowaliśmy ciekawą wymianę opinii i wiadomości lokalnych. Tak było przez kilka tygodni.

Bruno i Regina byli śpiewakami operowymi, dobrze znanymi zarówno tu, jak i w całej Europie. Wkrótce musiałem spotkać się z lokalnym dziennikarzem, a moja historia została wydrukowana w codziennej gazecie. Jako bizantyjski artysta zostałem też przedstawiony miejscowemu księdzu, któremu pokazałem swoje gwasze.

- Czy potwierdzisz, że trzy postacie na twoich obrazach przedstawiają Świętą Trójcę - zapytał uśmiechając się.

- Oczywiście, Eminencjo - potwierdziłem entuzjastycznie.

- W takim razie kupię trzy z nich.

W ten sposób wróciłem do Paryża z dużą ilością pieniędzy i mogłem pozostać bez problemów finansowych do dnia, kiedy przyszedł list z Amsterdamu z pytaniem, gdzie należy wysłać nagrodę i w jakiej walucie.

- Do Paryża - odpowiadałem spokojnie i we frankach francuskich. I tak zostałem tam szczęśliwie przez trzy lata.

\*\*\*

Obecnie tamten 5-cio letni chłopiec, to znany poeta, Max de Carvalho. Rodzice zmieniła nazwisko z pierwotnego polskiego

nazwiska - Wyzuj, na nazwisko brazylijskiej matki Maxa - de Carvalho. Rodzina Bruno już dawno wyemigrowała z Poznania do Brazylii. Max urodził się więc w Rio de Janeiro. Teraz mieszka we Francji. Nasza przyjaźń trwa do dziś. Niedawno Max poprosił mnie, abym opowiedział mu swoje wspomnienia z mojej pierwszej podróży do Paryża i Luksemburga.

A przy okazji - drugi syn Maxa urodził się w Paryżu i.... otrzymał imię Casimir, aby zaznaczyć naszą polsko-brazylijską przyjaźń.

Styczeń 2021 r.

*Tłumaczenie z języka angielskiego: Joanna Sokołowska-Gwizdka*

**Zobacz też:**

Anioł Stróż. Opowiadanie sensybilistyczne.

---

# Polski plakat niepodległościowy. Wystawa w Galerii Roi Doré w Paryżu.

Od 23 października do 24 listopada 2018 r można zobaczyć w Paryżu wystawę plakatów związanych z walką Polaków o niepodległość na przestrzeni lat.



Projekt plakatu: Michał Batory.

Wystawa prezentuje wybór polskich plakatów niepodległościowych z różnych epok, związanych z szeroko pojętą walką o wolność i niepodległość. Znajdują się wśród nich m.in. plakaty nawołujące do walki zbrojnej (z okresu I i II wojny światowej czy wojny polsko-bolszewickiej) lub poparcia czynu zbrojnego czy wsparcia humanitarnego ofiar konfliktów, ale także dzieła propagandowe, wspierające i



promujące różne wizje - społeczne, ekonomiczne i polityczne - wolnej Polski.

Chronologiczne ujęcie tematu pozwala przede wszystkim ukazać przekrojowo historię Polski i jej najbardziej przełomowe momenty, kiedy decydował się kształt państwa. Wśród prezentowanych prac znajdują się plakaty z okresu I i II wojny światowej, z międzywojnia, z czasów powojennych (m.in. plakaty solidarnościowe czy też związane z wprowadzeniem stanu wojennego). Tym samym, poza ważnymi wydarzeniami historycznymi, wystawa przybliży zwiedzającym również przemiany społeczne, ekonomiczne i polityczne polskiego społeczeństwa na przestrzeni ostatnich 100 lat.



Robert Budecki, 1981 r.

Szeroki wybór zaprezentowanych dzieł, dobranych zarówno ze względu na ich wartość historyczną, jak i walory estetyczne, daje także możliwość przyjrzenia się ewolucji sztuki plakatu - domeny, w której polscy artyści cieszą się od lat niesłabnącą i zasłużoną renomą (słynna „polska szkoła plakatu”) - oraz roli i zaangażowania artystów w walkę o niepodległość i w kształtowanie się państwa.

Wystawa wpisuje się w obchody 100-nej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości i upamiętnia zarówno samo przełomowe wydarzenie, jak i ostatnie 100 lat historii

Polski. Wystawa jest częścią projektu „W służbie sztuce i ojczyźnie”, organizowanego przez Galerię Roi Doré oraz platformę Art-maniac, którego celem jest promocja wiedzy o historii Polski - od wydarzeń związanych z odzyskaniem przez Polskę niepodległości poprzez jej losy od tego przełomowego momentu aż do dnia dzisiejszego - a także o związkach między sztuką i historią. Projekt „W służbie sztuce i ojczyźnie” szczególną uwagę poświęca roli artystów w walce o wolną i niepodległą Polskę.



Anonim, 1981-82 r.

**GALERIE ROI DORÉ - 6, rue Sainte Anastase 75003 Paris**

**Tél : + 33 1 42 78 54 42**

**galerie@roidore.com; www.roidore.com; www.art-maniac.fr**

**Plakaty można kupić:**

<https://www.art-maniac.pl/category/works-on-paper/plakat/>

**Galeria**



Anonim, 1914-1915 r.



Anonim, 1920 r.



Anonim, lata 1930-te.



Władysław Skoczylas, 1920 r.



Władysław Teodor Benda, 1917 r.





George Illian, 1917 r.



Anonim, 1920 r.



Franciszek Nieczuja Urbański, 1920 r.



Theo Matejko, 1939 r.



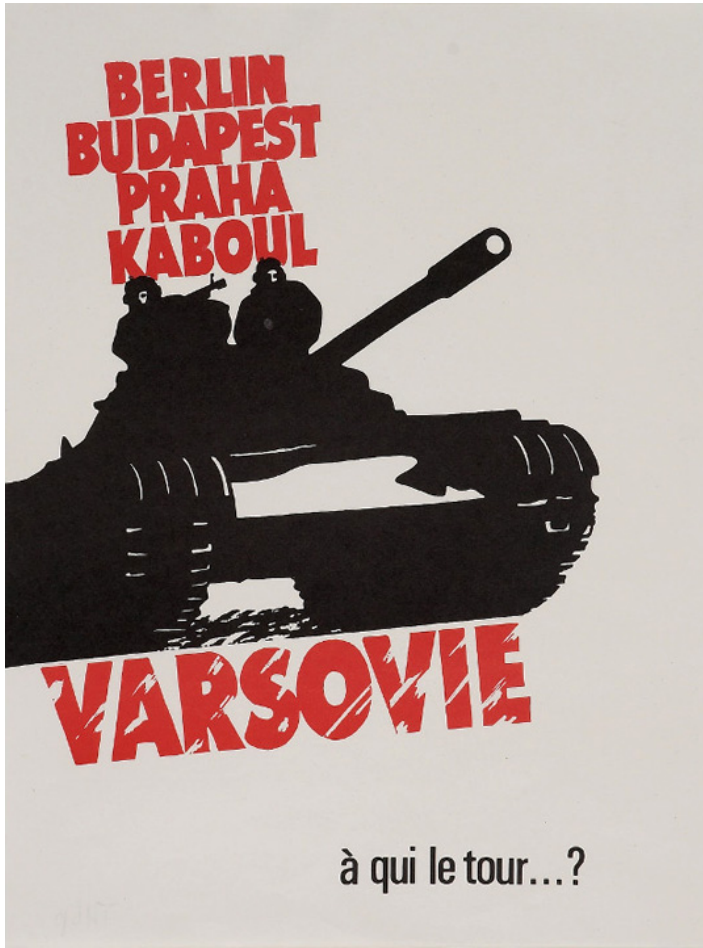
Anonim, 1921 r.



Anonim, 1981 r.

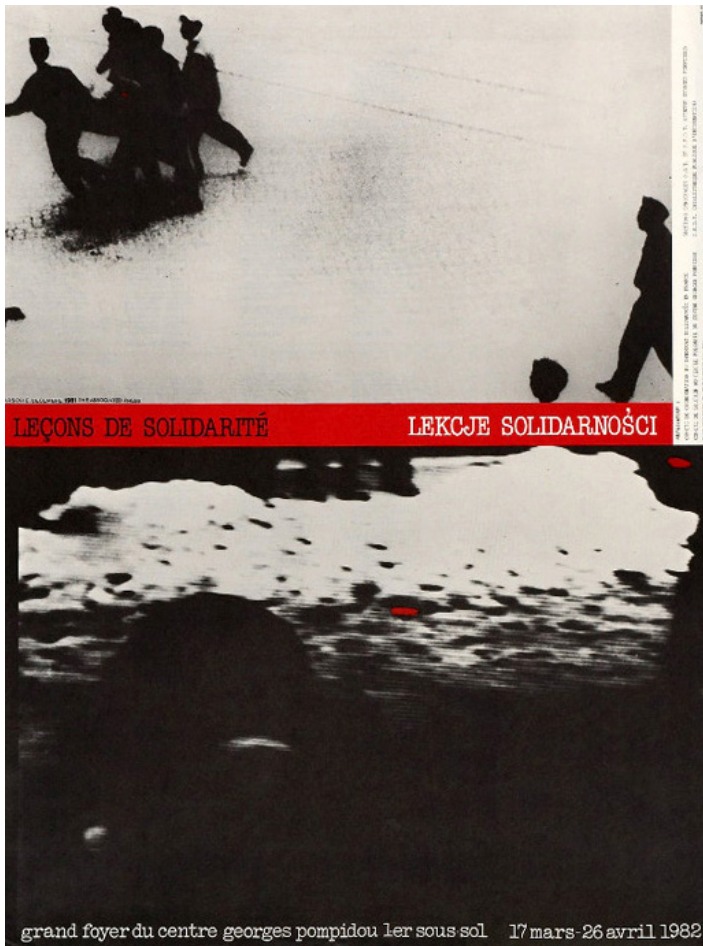


Anonim, 1943 r.



Anonim, 1981 r.





Roman Cieślewicz, 1982 r.

---

# Wystawa „Beksiński – In hoc signo vinces”

# w Paryżu



Dwa lata po wystawie „Zdzisław Beksiński i inni artyści z kolekcji prywatnej”, która odbyła się w **Galerii Roi Doré** na przełomie 2015 i 2016 r., mamy kolejną wystawę w całości poświęconą twórczości Beksińskiego (1929-2005). Prezentowana jest ona w Galerii Roi Doré w Paryżu **od 5 grudnia 2017 r. do 8 lutego 2018 r.**

Wystawa „**Beksiński - In hoc signo vinces**” prezentuje obrazy (a także rysunki oraz fotografie) artysty, pochodzące z kolekcji prywatnej. To wydarzenie jest dla wszystkich miłośników sztuki Beksińskiego niezwykłą okazją, gdyż prezentowane tu prace olejne były do tej pory pokazywane tylko raz publicznie, ponad 30 lat temu i pozostają zazwyczaj niedostępne dla publiczności.

„**Beksiński - In hoc signo vinces**” jest pierwszym etapem serii wystaw, które zaprezentują prace artysty we Francji (Salon „Dessin et peinture à l'eau”, Grand Palais, Paryż) i w Polsce (Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa).

**Zdzisław Beksiński** ur. się w 1929 r. w Sanoku, zmarł tragicznie w 2005 r. w Warszawie. Był malarzem, fotografikiem, rysownikiem i rzeźbiarzem, w którego twórczości, zabarwionej surrealizmem, dominuje charakter oniryczny i fantastyczny. Beksiński rozpoczął swoją karierę artystyczną w latach 50. od fotografii, następnie zaś zwrócił się w stronę rysunku. Malarstwo olejne pojawiło się dosyć późno w twórczości Beksińskiego – artysta zaprezentował publicznie obrazy zrealizowane tą techniką po raz pierwszy w 1970 r. – ale szybko stało się ono jego prawdziwą wizytówką. Dzieła te przywołują najczęściej fantastyczny świat: dziwne i opustoszałe pejzaże, zmumifikowane istoty – ludzkie lub hybrydy – czasami w stanie rozkładu bądź przypominające szkielety.

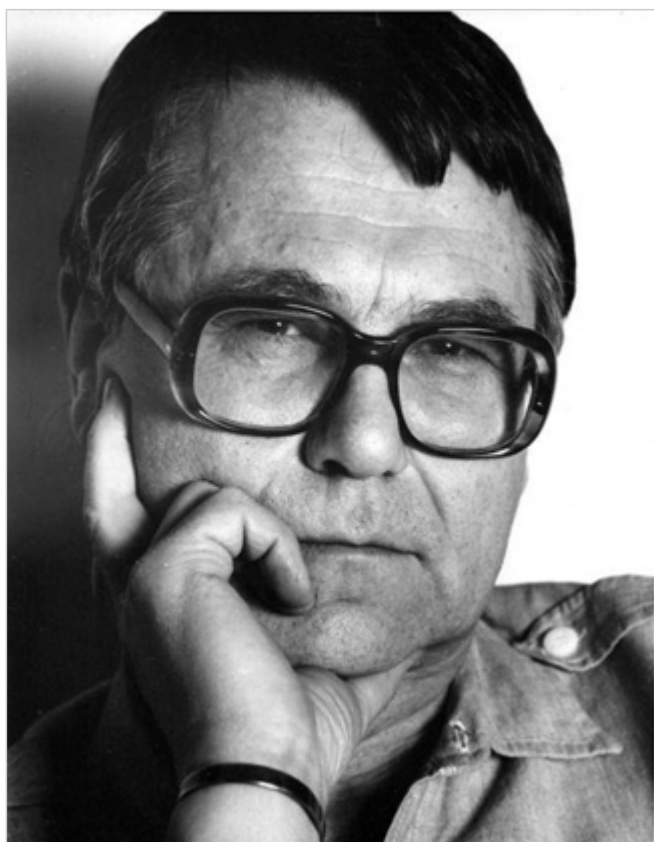
Jednocześnie Beksiński rysował i malował zarówno krajobrazy jak i postaci z ogromną precyzją i poczuciem detalu. Choć jego dzieła mogą wydawać się na pierwszy rzut oka niepokojące i makabryczne, po pewnym czasie widz zaczyna koncentrować się na transcendentnej piękności obrazów Beksińskiego. Jak zauważył Tadeusz Nyczek:

Obrazy Beksińskiego, kiedy widzi się je nieustannie i żyje w ich obecności, wyzbywają się swojego aspektu zewnętrznego, a jednocześnie spojrzenie odbiorcy się sublimuje, wnika dalej i głębiej. (Tadeusz Nyczek, „Wstęp”

w: Beksinski. Photographies, dessins, sculptures, peintures, Anna et Piotr Dmochowski, API, Corée, 1991).

## ŻYCIORYS

**Zdzisław BEKSIŃSKI (1929-2005). Malarz, fotografik, rysownik i rzeźbiarz, urodzony w 1929 r. w Sanoku, zmarły tragicznie w 2005 r. w Warszawie.**



Zdzisław Beksiński, fot:  
[www.dmochowskigallery.net](http://www.dmochowskigallery.net)

W 1947 roku, pod naciskiem ojca, Beksiński wstępuje na krakowską politechnikę (będącą wówczas częścią Akademii Górniczo-Hutniczej), gdzie studiuje architekturę. Po ukończeniu uczelni w 1952 r., w ramach nakazu pracy zostaje zatrudniony jako inspektor nadzoru przez państwowe przedsiębiorstwo budowlane. Chociaż Beksiński rysował od dzieciństwa, dopiero w 1953 r. zainteresował się na poważnie fotografią, malarstwem i rzeźbą, szukając zapewne w sztuce ucieczki od codzienności nielubianego zawodu.

Beksiński rozpoczął swoją karierę artystyczną od fotografii, dzięki której szybko zdobył renomę i uznanie środowiska zawodowego, co pozwoliło mu uczestniczyć w wielu wystawach w Polsce i za granicą. Już jego wczesne dzieła odznaczają się lekceważącym podejściem do rzeczywistości, którą artysta przekształca pod wpływem własnej wizji. Z tego też wynika jego fascynacja fotografią, którą postrzega nie jako sposób na przedstawianie rzeczywistości obiektywnej, ale która przyciąga go swoim aspektem „chemicznym”, sztucznym i „przetworzonym”, doskonale odpowiadając tym samym upodobaniom artysty, który twierdził, że „nienawidzi wszystkiego, co «naturalne»”. Rysunki z tego okresu (lata pięćdziesiąte i początek lat sześćdziesiątych) także charakteryzują się tendencją do ekspresjonistycznych deformacji, czasami posuniętych tak daleko, że więź z rzeczywistością jest ledwie zachowana, co zbliża te prace do

abstrakcji.

W 1960 roku artysta porzuca fotografię, a w swoich rysunkach, obrazach, rzeźbach i reliefach zaczyna eksperymentować z formą, materiałami i technikami artystycznymi, używając np. blachy czy drutu, poddanych różnorodnym procesom (m.in. działaniu kwasu, gotowaniu, polerowaniu, itd.). Jednocześnie nadal rysuje, tworząc początkowo prace średniego formatu i używając do tego pióra lub długopisu. W późniejszym okresie – na początku lat siedemdziesiątych – Beksiński ewoluuje w stronę większych formatów, realizowanych za pomocą czarnej kredy i bardzo bliskich stylistycznie i tematycznie obrazom.



Zdzisław Beksiński, Bez tytułu, 1982 r., płyta pilśniowa, olej, 86×86 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. T. Nyczek:  
Zdzisław Beksiński, Arkady 1989 r.

Malarstwo olejne pojawia się dosyć późno w twórczości Beksińskiego - artysta zaprezentował publicznie obrazy zrealizowane tą techniką po raz pierwszy w 1970 r. - ale szybko stało się ono jego prawdziwą wizytówką. Dzieła te przywołują najczęściej fantastyczny świat: dziwne i opustoszałe pejzaże

oraz tajemnicze istoty - ludzkie lub hybrydy - czasami w stanie rozkładu, zmumifikowane lub przypominające szkielety. Jednocześnie Beksiński rysuje i maluje zarówno krajobrazy jak i postaci z ogromną precyzją i poczuciem detalu. W konsekwencji, obrazy te świadczą nie tylko o fantastycznym i niepokojącym świecie wyobraźni artysty, ale także o jego mistrzowskim opanowaniu tej wymagającej techniki, jaką jest malarstwo olejne. Znany ze swego perfekcjonizmu Beksiński potrafił zresztą spędzić wiele dni przed obrazem, aby w końcu porzucić go tuż przed ukończeniem i rozpocząć nową wersję, zamalowując poprzednią.

Pierwsza ważna wystawa Beksińskiego miała miejsce w Warszawie w 1964 r. Zaprezentowano na niej przede wszystkim jego rysunki, wzbudziła ona jednak mieszane reakcje, tak publiczności jak i krytyki. W kolejnych latach artysta nadal pokazywał swoje prace na różnych wydarzeniach indywidualnych i zbiorowych, jednak to dopiero wystawa w galerii „Współczesnej” w Warszawie w 1972 r. pozwoliła mu zaistnieć w świadomości szerokiej publiczności.

W latach dziewięćdziesiątych artysta zdobył międzynarodowe uznanie, przede wszystkim we Francji, Niemczech, Belgii i Japonii, głównie dzięki wysiłkom Piotra Dmochowskiego, który zorganizował wiele wystaw artysty, publikował książki i artykuły na jego temat oraz sfinansował i wyprodukował film „W hołdzie



Beksińskiemu”. W latach 1989-1995 Dmochowski stworzył i prowadził muzeum galerię Beksińskiego w Paryżu.

W 1999 roku Muzeum Historyczne w Sanoku, posiadające największą kolekcję dzieł Beksińskiego na świecie, zorganizowało dużą, monograficzną wystawę Beksińskiego, która ugruntowała jego pozycję jako renomowanego artysty. Paradoksalnie, Zdzisław Beksiński był osobą szczególnie introwertyczną: już w 1977 r. opuścił on swoje rodzinne miasto, gdzie cieszył się sporą sławą, aby zamieszkać w Warszawie, mając nadzieję na wtopienie się w anonimowy tłum stolicy. Co więcej, artysta nigdy nie wyjechał z Polski - odrzucił nawet stypendium proponowane mu przez nowojorskie Muzeum Guggenheim - nie uczestniczył też w swoich wernisażach.

Życie Beksińskiego naznaczone było wieloma osobistymi tragediami: w 1998 roku zmarła jego ukochana żona Zosia, a w następnym roku jego jedyny syn Tomek popełnił samobójstwo. 21 lutego 2005 roku artysta został brutalnie zamordowany w swoim warszawskim mieszkaniu.



Zdzisław Beksiński, Bez tytułu, płyta pilśniowa, olej, 87×73 cm, własność Jadwigi Malinowskiej, fot. T. Nyczek: Zdzisław Beksiński, Arkady 1989 r.

## WYSTAWY

## NAJWAŻNIEJSZE WYSTAWY ZDZISŁAWA BEKSIŃSKIEGO

2017/2018 - „BEKSIŃSKI - In hoc signo vinces”, Galerie Roi Doré, Paris.

2015/2016 - „Zdzisław Beksiński i inni artyści z kolekcji prywatnej”, Galeria Roi Doré, Paryż, Francja.

2015 - Wystawa rysunków, Galeria Zamek w Centrum Kultury „Zamek”, Wrocław.

2013 - Wystawa „Zdzisław Beksiński - mroki nieświadomości”, Phantasten Muzeum, Wiedeń, Austria.

2010 - Wystawa w Parlamencie Europejskim, Bruksela, Belgia.

2006 - Retrospektywa Zdzisława Beksińskiego, Muzeum Narodowe w Gdańsku.

2003- Wystawa w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.

1994 - Wystawa w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.

1990 - Wystawa w Toh-Ou Muzeum, Osaka, Japonia.

1988 - Wystawa fotografii, Muzeum Historyczne w Sanoku.

1985/1986 oraz 1987 - Wystawy w Galerii Valmay, Paryż, Francja.

1981 - Wystawa w Muzeum Historycznym w Sanoku.

1978 - Wystawa w Centrum kultury „Bafomet”, Firenze, Włochy.

1975 - Wystawa w Galerii Zachęta, Warszawa.

1974 - Wystawa w Galerie im Karstadt-Haus, Kolonia, Niemcy.

1972 - Wystawa w Galerii Współczesnej, Warszawa.

1967 - Wystawa w Galerii Współczesnej, Warszawa.

1964 - Wystawa w Starej Oranżerii, Łazienki Królewskie, Warszawa.

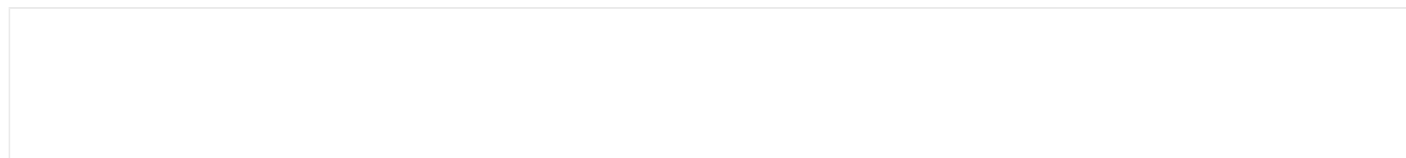
## **WYSTAWY STAŁE**

Od 2016 - Galeria Zdzisława Beksińskiego, Nowohucke Centrum Kultury , Kraków , Polska.

Od 2008 - Muzeum Zdzisława Beksińskiego, Miejska Galeria Sztuki, Częstochowa.

1989-1995 - Wystawa stała w Galerii Dmochowski, Paryż, Francja.

Od 1988 - Wystawa stała w Muzeum Historycznym w Sanoku (Galeria Beksińskiego w Sanoku).



## **GALERIA**



Zdzisław Beksiński (1929-2005), Bez tytułu, 1979, olej na płycie pilśniowej, 73 x 87 cm. Kolekcja prywatna.



Zdzisław Beksiński (1929-2005), Bez tytułu, 1984, olej i akryl na płycie pilśniowej, 101 x 98,5 cm. Kolekcja prywatna.



Zdzisław Beksinski (1929-2005), Bez tytułu, 1968, olej na płycie pilśniowej, 84 x 60 cm. Kolekcja prywatna.



Zdzisław Beksiński (1929-2005), Bez tytułu, 1970, olej na płycie pilśniowej, 70 x 61 cm. Kolekcja prywatna.

## PRASA

Na wzór swoich obrazów, Beksiński jest samotnikiem. Nie pokazuje się publicznie, nie wystawia. Kiedy muzea czy kolekcjonerzy organizują ekspozycje jego prac, nie pojawia się na nich. Przez dwanaście godzin dziennie, przy podkładzie muzyki klasycznej, maluje swoje obrazy zawsze



na płycie pilśniowej, podpisane na plecach i pozbawione tytułu. (...) Beksiński jest postacią charyzmatyczną i o niezwykłej głębi umysłowej, a jednocześnie nigdy nie opuścił Polski, nie mówi w żadnym języku obcym i nie należy do żadnej grupy ideologicznej. Nienawidzi polityki i gardzi nią.

**Piotr Dmochowski, „Biographie” w: Beksinski. Photographies, dessins, sculptures, peintures, Anna et Piotr Dmochowski, API, Corée, 1991 (tłumaczenie z jęz. francuskiego).**

Ponieważ Beksiński nie maluje nigdy z natury, każda przedstawiona przez niego rzecz przyjmuje specyficzną dla siebie formę, wymyśloną przez twórcę. Dzieje się tak nawet jeśli ta rzecz jest mocno wzorowana na przedmiocie rzeczywistym. Stąd wynika specyficzny charakter tego malarstwa, odpowiadający wewnętrznemu światu artysty: uderzające wrażenie wiernego odwzorowania natury, po którym natychmiast następuje poczucie nierealności. Niebo Beksińskiego, chociaż jest podobne do naturalnego pierwowzoru, nigdy nim nie jest. (...) jest zawsze podobne tylko do siebie: na pozór prawdziwe, a

jednocześnie jakże bardzo fantastyczne. Podobnie jest z drzewem. (...) Malując dom, Beksiński nie przedstawia okien, framug czy drzwi z klamką ani dachu z kominkiem. Zamiast okna będzie mroczny otwór pokryty pajęczą siecią, a z wnętrza wydobywać się będą języki ognia. Zamiast drzwi zobaczymy czarną dziurę, nigdzie nie prowadzącą. Przywołane na obrazie kości i żyły wydają się pochodzić prosto z podręczników anatomii. Ale wystarczy jedno uważne spojrzenie, by przekonać się, że nie mają one nic wspólnego z rzeczywistością. (...) Świat przedstawiany na obrazach Beksińskiego uderza ostrością, swoim specyficznym charakterem i powtarzalnym klimatem. Istnieją obrazy „przyjemne”, „sympatyczne” mimo zestawień kolorów i form, które mogłyby szokować. Są też obrazy „odstręczające”, o ciężkiej atmosferze, niesprzyjającej kontemplacji. Ale obsesyjny charakter niektórych wizji i powtarzalność najbardziej szokujących motywów nie są przypadkowe: są sposobem na oswojenie odbiorcy. Ich niestrudzone powtarzanie jest sposobem na zatarcie na dłuższą metę makabrycznego wrażenia. (...) Bardzo szybko anegdotyczny i przerażający aspekt zewnętrzny zanika. Pozostaje trwałe poczucie piękna. Przedmioty przestają być rozpoznawalne czy zauważane. Tak jak nie zwracamy już uwagi na wojenny koszmar czy fizyczne cierpienia w scenach pasji na dawnych obrazach. Obrazy Beksińskiego, kiedy widzi się je nieustannie i żyje w ich obecności,

wyzbywają się swojego aspektu zewnętrznego, a jednocześnie spojrzenie odbiorcy się sublimuje, wnika dalej i głębiej. (...) Ci, którzy szukają znaczenia w obrazach Beksińskiego, gotowi są przypisać mu upodobanie do okrucieństwa. Te ciała obdarte ze skóry, szkielety i cmentarze, zamknięte oczy i przedziurawione czaszki są dla nich swoistym „théâtre d’horreur”. Zarzucają malarzowi praktykowanie sztuki łatwego szokowania. Jednak Beksiński ma rację odpowiadając, że sen nie czyni szkód, nie jest okrutny. On sam odczuwa głęboką odrazę na widok nędzy, upokorzenia czy śmierci: „Nienawidzę książek czy rzeczy dotyczących okupacji. Z założenia nie oglądam japońskich filmów, bo robi mi się niedobrze na sam widok «hara-kiri»” — powiedział w jednym ze swoich wywiadów. To, co artysta maluje i sposób w jaki to robi nie są rezultatem ani okrucieństwa ani chęci epatowania publiczności. „(...) Obraz jest dla mnie czymś bardzo odległym od rzeczywistości. Pokazuje on wyobrażoną rzeczywistość... Sen może być przerażający, ale nie jest okrutny w ten sposób, w jaki może być dokumentacja fotograficzna. Są zapewne osoby, którym krew na obrazie kojarzy się z krwią wypływającą z rany. Być może jest to zboczenie zawodowe, ale mogę przysiąc z całą odpowiedzialnością, że dla mnie chodzi tylko i wyłącznie o pigment, nałożony - dobrze lub źle - na płótno i że w moich obrazach dominują kwestie kolorów i form i nic

innego”.

**Tadeusz Nyczek, «Introduction» w: Beksinski. Photographies, dessins, sculptures, peintures, Anna et Piotr Dmochowski, API, Corée, 1991 (tłumaczenie z jęz. francuskiego).**

Beksiński zawsze chciał widzieć swoją twórczość w nurcie sztuki ekspresjonistycznej. Podobnie jak w rysunku i w malarstwie, tak i w fotografii od samego początku podejmowanie wątków i szukanie formy niosącej duży ładunek emocjonalny było głównym nurtem. We wczesnych rysunkach pojawiały się dodatkowo reminiscencje wojenne, wieżyczki wartownicze, rozstrzelania itp. (...) Jednakże ta dosłowność była dla niego nie do przyjęcia; poza tym, zamiast relacjonować historię, szybko skupił się na swoim życiu wewnętrznym i tam szukał komentarza do własnych niepokojów.

**Wiesław Banach, Foto Beksiński, wydawnictwo Bosz, Olszanica, 2011.**

**Za udostępnienie materiałów na temat Zdzisława**

**Beksińskiego oraz wystawy dziękujemy Pani Karolinie Zabickiej z Galerii Roi Doré w Paryżu.**

**Redakcja**

<http://www.officiel-galleries-musees.com/galerie/galerie-roi-dore>